

Wspomnienie o prof. Bazylim Czczudze



Pisze córka Ewa Czczuga-Semeniuk

Tato urodził się na Podlasiu w rodzinie chłopskiej. Jego skromne dzieciństwo przerwała wojna, potem nieoczekiwana śmierć matki, w końcu osobista tragedia. Od najmłodszych lat ciężko pracował, zresztą pracy nie bał się nigdy. Ale w wolnych chwilach uciekał na łąki, gdzie z pasją obserwował otaczającą go przyrodę. Skrupulatnie notował przyloty i odloty ptaków, kolekcjonował zioła, obserwował zwierzęta. Mało kto wie, że pięknie rysował. Przyrodę znał, rozumiał i kochał. To właśnie od niego można było się nauczyć, że wszystko w niej ma swój porządek i znaczenie; można było ciepłym okiem spojrzeć na poranną mgłę i spadający liść; można było zrozumieć, że wszystko musi mieć swój koniec...

Był uczniem, który lubił się uczyć. Uczył się zresztą prawie do końca swoich dni. Ta ogromna ciekawość świata, chęć bycia na bieżąco z tym, co się wokół dzieje, była zadziwiająca. Marzył, żeby doczekać momentu sklonowania mamuta, którego DNA udało się naukowcom wyizolować w 2013 roku. Nawet gdy był już bardzo chory, to zadawał niezmiennie pytanie: co sływać na świecie? Szkołę podstawową ukończył w rodzinnej miejscowości, następnie Liceum Ogólnokształcące dla Pracujących w Białymstoku. Był praktycznie zdany na samego siebie. Wynajmował pokój na ulicy Przejazd 2. Wstawał o czwartej rano, ustawiał się w kolejkę po cukier, w barze mlecznym jadł skromne śniadanie, biegł do pracy, potem pracował społecznie (kiedy wszyscy odbudowywali kraj, Tato douczał analfabetów z całej ulicy Sienkiewicza), stamtąd do szkoły, wieczorami i w nocy uczył się, i tak mijał dzień za dniem. To były bardzo pracowite lata. Po zdanej maturze dostał propozycję studiowania biologii w Mińsku lub historii w Budapeszcie. Wybrał biologię. Historia pozostała jego drugą pasją.

Był uczniem wybitnego hydrobiologa, profesora Vinberga, w którego pracowni poznał zasady pracy badacza i dostał dobrą szkołę prowadzenia eksperymentów naukowych. Wszyscy, którzy „wyszli spod jego ręki” zostawili po sobie znaczący naukowy ślad. Po ukończeniu studiów i uzyskaniu tytułu magistra biologii, w 1956 roku wrócił do kraju. Był przekonany, że będzie nauczycielem biologii w szkole, jednak trafił w Warszawie do komisji, która doceniła jego bardzo dobry dyplom (tylko jedna czwórka z okresu, gdy poznał Mamę...) i ze słowami: „szkoda pana wiedzy i umiejętności do szkoły, w Białymstoku jest profesor Sławiński, tam na pewno pan się przyda”,

otrzymał... nakaz pracy w Akademii Medycznej w Białymstoku.

Z ogromnym entuzjazmem twórczym przyjmuje tę propozycję. Píše dwa odrębne tematycznie doktoraty, oprawia je i jedzie do Olsztyna szukać promotora (bo doktoraty były typowo przyrodnicze). W 1960 roku na Wydziale Rybackim WSR w Olsztynie uzyskuje tytuł doktora nauk przyrodniczych, a w 1963, na tymże wydziale tejże uczelni tytuł doktora habilitowanego (przygotował 9 propozycji wykładów habilitacyjnych).

Z okresu tego pamiętam, że dość często wykorzystywałam jego maszynopisy do... rysowania. Czasami, kiedy Tato jako asystent prowadził ćwiczenia, zostawałam pod opieką Pana Michała Wysockiego, oficjalnie portiera z Pałacu, a nieoficjalnie sąsiada z tzw. „baraku”, w którym mieszkaliśmy (barak po budowniczych budynku anatomii prawidłowej). W 2009 roku, z inicjatywy i przy znaczącym finansowym wsparciu Taty, odnaleźliśmy i odnowiliśmy jego grób, bo to był bardzo uczciwy i dobry człowiek - jak mawiał Tato. Zdarzało się i tak, że jako czteroletnia dziewczynka, po prostu stałam pod Zakładem Biologii cierpliwie czekając, aż Tato skończy prowadzić ćwiczenia, bo profesor Sławiński dzieci i psów do zakładu nie wpuszczał...

W Akademii Medycznej Tato pracował przez 45 lat, przeszedł wszystkie szczeble awansu zawodowego. Prowadził wzorową działalność dydaktyczną. Tu stworzył i opublikował 670 (761 ze streszczeniami) prac naukowych (6 publikacji w „Nature”, w tym dwóch jako jedyny i dwóch jako pierwszy autor), rozdziały monografii i podręczników. Był członkiem komitetów naukowych PAN i międzynarodowych grup roboczych, ekspertem wielu uniwersytetów. Będąc na emeryturze opublikował 122 prace naukowe.

Przez wiele lat pełnił społeczną funkcję prezesa Wojewódzkiego Zarządu Ligi Ochrony Przyrody. Był pasjonatem. Z jego inicjatywy i przy czynnym udziale powstało wiele rezerwatów przyrody, chociażby Czerwone Bagno. Ówczesni decydenci twierdzili, że wstrzymywał w ten sposób postęp społeczny. On działał dalej. Był orędownikiem powstania Wigierskiego Parku Narodowego, którego florę i faunę badał i opisywał. W tamtym czasie w domu zaczęły pojawiać się różne broszury, zakładki do książek, książeczki Ligi Ochrony Przyrody. Z nich nauczyłam się polskich roślin i zwierząt chronionych, tak po prostu, od niechcienia. Tato zawsze był świetnym dydaktykiem. Gdy byliśmy na wakacjach, zawsze opowiadał o florze i faunie, tak jakoś niechcący, mimochodem. Dokładnie nie pamiętam, ale chyba pierwszy materiał biologiczny zaczęłam gromadzić z Tatą mając 10 lat. Każde wakacje to był wyjazd z probówkami, acetonem i narzędziami do „obróbki” materiału, a ja miałam „stałe zatrudnienie”. Tato udawał, że beze mnie sobie nie poradzi, no a ja oczywiście starałam się jeszcze bardziej. Pewnego razu o mały włos nie utopiłam się w Morzu Czarnym. Od tego momentu zaczął mi... płacić. Symbolicznie oczywiście, ale zawsze to było coś. Wspólnie z mamą przeżyli 52 lata. Mimo że oboje stanowili parę dwóch indywidualności, nie przeszkadzało im to w czerpaniu satysfakcji z własnych szerokich horyzontów. Tato, w towarzystwie zawsze nieco wycofany, raczej słuchający; to Mama zabawiała gości. Ale jeśli spotykał kogoś, z kim łączyły go wspólne tematy, ożywał się i miał rozmówcy wiele do zaoferowania. Braki w wiedzy biologicznej wybaczał wszystkim (oprócz studentów, oczywiście). Z przyjemnością i entuzjazmem tłumaczył przyrodnicze zawiłości. Mama mogła nic nie wiedzieć na ten czy inny temat. Ją chroniła jej świetna kuchnia (Tato uwielbiał ryby i rozpoznawał ich gatunki w każdej postaci). Za to ja byłam regularnie poddawana różnym sprawdzianom, muszę jednak wyznać, że nie bez obopólnej satysfakcji... Czułam, że sprawiałam mu tym ogromną przyjemność, co stanowiło dla mnie bodziec do zagłębiania się w biologię jeszcze bardziej. I kiedy 21 czerwca

2016 na świecie pojawił się Januszek, prawnuk Taty, stał się kolejnym pokoleniem, które oprócz mojej córki Ady, rozpoczęło naukę biologii.

Przez ostatni rok mieszkaliśmy wszyscy razem. Mimo ciężkiej choroby Taty, to były jednak szczęśliwe dni. Tato, ze swoim charakterystycznym zmysłem obserwacji, przyglądał się dziecku i ciągle zachwycał się samą istotą życia, konstrukcją naszego bytu. Trzymał je na kolanach i gdy razem oglądali kreskówki tłumaczył mu, że piesek nie może być fioletowy, a drzewko niebieskie. No a grająca na trąbce stonoga to po prostu zwykły skorupiak. To była jego ostatnia prawdziwa miłość.

W życiu był znakomitym strategiem, umiejącym oceniać konsekwencje swoich poczynań. Jego życie nie było banalne. Wyjątkowy realista. Nigdy nie chadzał utartymi ścieżkami, a własna odrębność i niezależność oraz niezwykły dar przenikliwości pozwalały mu żyć w zgodzie z wyznawanymi przez niego ideałami. Wierny swoim przekonaniom, szanował odmienne poglądy. Szeroko pojętą biologię znał doskonale. Ciekawy wszystkiego, co nowe i postępowe. Starał się młodym ludziom przekazać rzetelną wiedzę, wytyczyć kierunek myślenia, patrzenia w przyszłość. Zawsze punktualny, przygotowany, odpowiedzialny i solidny. Takim zapamiętało go wielu. Nigdy nie miał poczucia spełniania misji. Po prostu tak rozumiał wykonywanie obowiązków. I mimo że był bardzo wymagający, jego studenci, już jako dojrzałe ludzie, doświadczeni lekarze, mówili z dużą dozą satysfakcji: panie profesorze, ale ja u pana egzamin zdałem na piątkę! Gdy leżał w szpitalu słyszałam, jak jeden z moich kolegów tłumaczył mi, jeszcze dziś, po tylu latach, że dwóję dostał sprawiedliwie, a poprawkę zdał na czwórkę z plusem. W większości przypadków pamiętał, kto jak mówił, był dobrym studentem. Tych z problemami też doskonale kojarzył. W ogóle, praktycznie do końca miał świetną pamięć.

Jest jesień. Właśnie odleciały żurawie. Z radością obserwowaliśmy ich coroczne wędrówki. Kiedy już gorzej słyszał i słabiej widział, wierzył mi na słowo, że lecą. Szkoda, naprawdę bardzo tego żałuję, że razem nie przywitamy ich wiosną...

1.

